

Kronika tygodniowa.

A minori ad majus vabier consequentia. Tak powiedział swojego czasu filozof, zapewne rzymski, skoro mówił po łacinie, a w jego ślady wstępuje dziś i kronikarz i mając kilka ważnych spraw na porządku dziennym, zaczyna od najmniej ważnej, to jest od pogody.

W dniu 8 czerwca obchodziliśmy imieniny św. Medarda, który jest u nas uważany za patrona od deszczu. Jeśli w tym dniu z niebiosów kapie, można być pewnym, że przez dni czterdzieści będą stać otworem upusty niebieskie, kto więc nie ma parasola, musi się na gwałt zaopatrzyć w ten instrument, dziś dostępny tylko dla paskarzy i innych milionerów wojennych. Za najgorszego gatunku egzemplarz, z którym nawet na deszcz wychodzić nie można, gdyż się rozlezie, trzeba zapłacić co najmniej sto koron.

Dzięki Bogu, obeszło się w tym roku bez potrzeby kupowania parasola w dniu świętego Medarda, a to z tego powodu, że już przedtem padał deszcz prawie przez dni akurat czterdzieści, więc każdy szanujący siebie i swój kapeluszy obywatel miał już parasol, po- zatem w dniu 8 czerwca przez cały dzień mieliśmy pogodę, wobec czego udał się nawet i festyn na jakiś cel dobroczynny i wycieczka tradycyjna na Bielany, tego roku wyjątkowo i dla rozmaitości plechoty, gdyż o doroczne a i mowy, a i miejsca na chłopskiej furze trzeba było także słono opłacić. Choć gazety donosiły, że z powodu chorób zakaźnych (czyżby się zbliżały wybory?...) władze zakazały tłumnych wycieczek na Bielany i ostrzegaly pobożnych i zakochanych, mimo to pociągnęły tam tysiące Krakowian, chcących użyć w całej pełni świeżego powietrza dopóki nie stanie się ono kartkowem, nad czem zastanawia się podobno bardzo poważnie Rada przyboczna pana Delegata jeneralnego, na wniosek delegata ministerstwa temperatury na Małopolskę. A jest nim taki pan, który, jak to zwykle u nas bywa, nie ma z temperaturą nic wspólnego, a zna się na niej niczem kura na pleprzu (ale nie na tym, który niedawno skonfiskowano jakimś pannu Bielowi...).

Szli więc na Bielany ci, których nogi nie bolały, jechali łądem lub wodą milionerzy, najbardziej zaś rozanieleni byli ci, którzy się wybrali łodziami motorowymi, gdyż włączowali sobie, mówiąc z niemiecka, aby już w roku następnym można się było w ten sposób dostać... do „polskiego“ Gdańska.

Na ogół zabawa na Białanach była bardzo słaba, ale też nie ma się i czemu dziwić, gdyż Kraków, dzięki wojnie, poszedł ogromnie naprzód z postępem i już mu nie wystarczały Bielany. Dawnych wesołych towarzystw z beczką piwa i harmonią ani śladu, zamiast szelesu liści, szelest jedwabi, którymi dziś co druga córka Ewy okrywa swe grzeszne ciało.

Plechurzy wracali przeważnie przez Panieńskie Skąły, będące jak wiadomo, własnością Krakowa i radowali się widokiem prawdziwego lasu, który „do nich“ należy.

Zasłować jednak wypada, że gmina miasta Krakowa nie postarała się o to, aby w oba dni Zielonych Świąt uprzyjemnić pobyt na świętem powietrzu tym, którzy są go spragnieni. Należało więc w pierwszej linii postarać się o to, aby w lesie śpiewali więcej ptaków i nieco ładniej, niż to było w tym roku. W braku prawdziwych ptaków można było wydelegować w tym celu funkcyjaryzujący gminy, mających nazwiska: Słowik, Gł Kukułka, Skowronek, Kanarek, Gawron, Makolągwa, Zięba itd., poumieszczać ich na drzewach lub w krzakach i kazać śpiewać „na swojską nutę“.

Również byłoby wskazaniem urządzenie jakiejś gospody, bodajby tylko filii wojennej kuchni obywatelskiej, aby znudzony podróżnik miał gdzie posilić swe słabe ciało, mające stanowić bezpieczny futerał dla silnego ducha.

Niestety, posilek ów pozostawiał bardzo wiele do życzenia. Złuszczali spragnieni narzekają, że nie było nawet na Woli Justowskiej czem odwilżyć gardła, skoro w myśl przepisów pana fizyka, a dziś ministra, nie powinno się używać wody nieprzegotowanej, a chyba trudno wymagać, aby się zabierało ze sobą na wycieczkę samowar, zwłaszcza że się go nie ma, gdyż zarekwirowały go w swoim czasie cesarsko-królewskie władze austriackie, gdy im zabrakło surowego materiału do fabrykacji wojennych orderów.

Głównie dawał się odczuwać brak piwa i to nie tylko na Woli Justowskiej, ale i w Krakowie, gdzie coraz rzadziej można się spotkać ze szklanką złotego lub czarnego trunku, nazywanego wprawdzie piwem, ale z niem prócz barwy nic wspólnego nie mającego.

Do tego dołączyło się jeszcze zamykanie szynków, knajp, restauracji, kawiarni, cukierni itd. o godzinie

dziewiątej wieczór. Zarządzenie to wydano z powodu zaburzeń w dnlach poprzednich, karające w ten sposób tych, którzy w tym kierunku byli zupełnie niewinni.

I nie też dziwnego, że nie jeden Krakowianin poszedł w tym dniu spać głodny, spragniony, no i zmęczony i niejednemu przysnił się w nocy cygani. Jednemu z mych znajomych przysniła się stara cyganka i nawet wróżyła mu z kart i dloni, podając numery na loteryę, niestety, nie mógł ich postawić, gdyż tę dobroczynną instytucję wzięli dyabli równocześnie z mamą Austrią, a rząd polski, nie troszczący się widocznie o zaspokojenie kulturalnych potrzeb swych obywateli, nie postarał się dotąd o coś w tym guście.

A propos piwa muszę zaznaczyć, że niektóre krakowskie firmy dotąd jeszcze ogłaszają dla reklamy, że sprzedają oryginalne piwo pilzneńskie.

Pomijając już okoliczność, że jest to najordynarniejsze kłamstwo, gdyż z Czech nie nadchodzi do nas piwo już więcej jak rok, sądziłbym, że szanujący się kupiec polski nie powinienby chyba w tych czasach i warunkach popierać przemysł i wytwórczość Czechów, naszych otwartych wrogów i ogłaszając się w ten sposób, szkodził sobie raczej a nie pomaga.

Onegdaj dopiero napotkałem w *Nowinach* tego rodzaju anons pewnej młodej firmy z Rynku głównego.

W innym lokalu zapewniano mnie, że najdalej już za miesiąc będziemy mieć „oryginalnego pilznera“, mnie się jednak zdaje, że i na tem polu powinniśmy bojkotować Czechów, zwłaszcza, że bez piwa można się łatwo obejść, a kto bez niego rady sobie dać nie może, niechaj gasi pragnienie krajowem. Okocim, Zywiec, Tarnów, Tenczynek, Limanowa itd. mają już wyrobione marki i stanowczo więcej się rozchodzi stąd flaszek w różne strony świata, niż z niejednej miejscowości posiadającej słynne źródła mineralne.

Ponieważ przy piwie zwykle sobie każdy obywatel lubi „zapalić“, niechaj mi wolno będzie wyrazić na tem miejscu *voiam* nienawiści i to zupełnie seryo pod adresem Zarządu Monopola tytoniowego.

Po raz nie wiedzieć już który, podróżowało to, co się tytoniem nazywa i to do tego stopnia, że byłoby zupełnie uzasadnione wkroczenie Straży obywatelskiej i oddanie sprawy sądowi karnemu. Ten znalazłby się dopiero w krytycznem położeniu, nie wiedząc, co z tym fantem zrobić. Bo, że się tutaj ma do czynienia z paskarstwem, o tem nie ma dwu zdań.

Gdyby przeciętny kupiec lub przemysłowiec podniósł w ten sposób ceny swych artykułów i gdyby ponadto dawał podobne świństwo, już dawno siedziałby w kryminalu, lub może nawet byłby się spotkał z ową ławą magistracką, która tak zalaża w głowę naszym cywilnym paskarzom. Nic zresztą w tem dziwnego. Ława ma nogi, więc też łazi.

Odezwe, podpisaną przez adwokata dra Skąpskiego, wydaną w imieniu Komitetu walki z lichwą powinien wziąć sobie do serca Zarząd Monopola tytoniowego.

Wezwano w niej kupców, przemysłowców, rzemieślników itd. do zniżenia cen, a miało to taki skutek, że w pewnym lokalu potaniało wino (ale smak jego się pogorszył...) i cukierki miętowe, obiecano nadto, że za tydzień potanieje prawdopodobnie ciętka, a za dwa tygodnie i wódka, gdyż szynkarze mają przyznany przydział spirytusu po niskiej cenie.

Czego się więc chwycić, tego albo brak, albo tak wszystkie drogie, że się tego nawet i dokupić nie można. Zdaje się, że magistrat zrezygnował już z taryfy maksymalnej i pozwala na wolny handel, co się ma w ten sposób tłumaczyć, że każdemu „wolno“ drzeć skórę z bliźnich, ale ostrożnie, by się przypadkiem nie dostać w ręce pana radcy Rosławskiego, będącego widomym zastępcą karzącej sprawiedliwości, o ile to dotyczy krakowskich paskarzy.

Dotąd śmiali się oni z wyroków, wnosząc załatwienie coraz to wyżej, ale nie spodziewali się bynajmniej, że tak rychło utworzony będzie senat galicyjski przy Najwyższym Sądzie w Warszawie.

Już jest im też rura ogromnie zmiękła.

Na tym ich interesie paskarskim wyszli najlepiej adwokaci, ale im to nie dziwne, gdyż do tego znajdują częściej sposobność.

Znam wypadek, gdzie jakiegoś biedaka przejechał samochód i srodze poturbował. Sprawa poszła na drogę sądową, a gdy przeszła wszelkie instancje, pokazało się, że samochód przejechał właściwie pana mecenas, choć bowiem uszkodzony wygrał, to kwota, jaką mu przyznano, wystarczyła zaledwie na pokrycie kosztów adwokackich.

Gdy mowa o placeniu, zaraz każdemu przychodzi na myśl pieniądze. A i z nimi kłopot, gdyż ich brak. „Grube hopy“ mają jedynie wybrani, to jest ci, którym się udało zrobić na wojnie dobry interes. Reszta ludność zadowolona była, mając bodaj „drobne“.

A dziś i ich nie mają! Jak już poprzednio wspominałem, drobne u nas zniknęły gdzieś, dzięki speku-

lantom, którzy je wywieźli za granicę, my zaś zostaliśmy literalnie... bez korony.

Magistrat wprawdzie miał wydać i wyda podobno, ale niewiadomo kiedy, swoje bony, główny jednak nacisk kładzie na to, aby one miały wygląd artystyczny.

I ma rację!... Im pieniądz ładniejszy, tem więcej znajdzie amatorów, chcących go w swych zbiorach pomieścić. Zrozumieli to dobrze nasi kapcy wydając swe własne bony, skoro się nie mogą doczekać na magistrackie. Tyle jest dziś zbieraczy osobliwości wojennych, że można śmiało powiedzieć, że połowa tych asygnat przejdzie do zbiorów, druga zaś połowa zniszczy się, a kupiec nie będzie potem musiał wymieniać je na gotówkę. Rozchodził się więc także i o to, aby papier na nie był jak najgorszy i kto wie, czy właśnie z tego powodu nie nastąpiło opóźnienie w wydaniu bonów miejskich. Magistrat poszukuje takiego papieru, ale go znaleźć nie może.

Miejmy nadzieję, że go jednak znajdzie zanim miejsce korony zajmie złoty polski, mający się izelić na sto groszy, równających się wartością z obecnymi koronami, dzięki racjonalnej gospodarce finansowej naszych sfer decydujących szczególnie zaś życzliwości, z jaką spotykamy się stale ze strony władz centralnych w Warszawie. Już dziś możemy sobie powiedzieć zupełnie otwarcie, że ze zmiany waluty wydziemy stanowczo... bez kamizelki. Korony miało stemplować, ale skończyło się na niczem. Pan minister Karpiński orzekł, że korona, czy ze stemplem, czy bez stempla, jest dyabla warta i, jako dziedzicznie obciążoną skazał ją na śmierć. Miał rację to prawda, ale nie miał li- tości nad kleszeniami tych nieszczęsnych Galileuszów, na których wszystko się sprzysięgło.

Ale kto widział łamać sobie głowę nad jakąś tam kwestyą korony ziemskiej. Niech ona sobie będzie nawet i austriacką, skoro każdy i każda z nas powinni mieć przed oczyma jedynie koronę niebieską i do niej dążyć, na resztę się nie oglądając.

Tak czyni właśnie i kronikarz, ciesząc się już z góry ową „niebieską“ koroną, do ziemskich nie miał bowiem szczęścia. Uciekały odeń jak od zapowietrzonego...

A teraz kolej na ostatni, najważniejszy punkt porządku dziennego, *recte* tygodniowego, choć tak go nazwać nie można, gdyby bowiem u nas panował w samą rzecz porządek, nie byłoby stanowczo przyszło do tych ubolewania godnych zaburzeń, których widownią był Kraków akurat w przededniu Zielonych Świąt.

Ze roztrąbiono o tem bardzo głośno i szeroko po świecie, o tem wie każdy. Doszło do tego, że zjechał do Krakowa specjalny korespondent i fotograf francuskiej ilustracji z Paryża, aby na miejscu porobić zdjęcia celem podania ich potomności, zdaje się jednak, że przyjdzie im to z trudnością. Kraków po pogromie wygląda zupełnie taksamo, jak przed nim, a że tam temu lub owemu obywatelowi naprawdę przez dwa lub trzy dni ze strachu dusia siedziała na ramieniu, to jeszcze nie tak straszne, aby aż miało być niewiecznione czarno na białem.

Zastanowić się przecież warto, co było powodem tych niepokojów, nazywanych nie wiem dlaczego, anty-żydowskimi, skoro rabowano i sklepy chrześcijańskie, a jedyna ofiara, która przypłaciła życiem, to kobieta katolicka, a nie żydówka.

Przed dwoma tygodniami przestrzegałem na tem miejscu, że może być źle, jeśli się nie położy kresu prowokacyom i to wychodzącym stale z tej strony, która się uważa za prześladowaną i prowokowaną, a w gruncie rzeczy dąży stale do tego, aby unieruchomić harmonijne współzycie z więkzością.

Wadze nasze, smutne to, a jednak prawdziwe, choć w skład ich wchodzi ludzie ci sami, co za czasów austriackich popadły w jakiś dziwny bezwład i ospałość. Jeden jedyny sąd daje jeszcze znaki życia, walcząc dość skutecznie z paskarstwem. Nie widzi się natomiast tej energii, z jaką się dawniej ścigało je, aresztowało, wywoziło, gdy natomiast dziś, gdy takich, dla polskiego państwa niebezpiecznych indywidualności namnożyło się mnóstwo, nie znajduje się nikt, kto położyłby kres ich niecej robocie.

Rządzą się u nas, jak u siebie w domu i przy- czyniają się w wysokim stopniu do wywołania łatwo zrozumiałego rozgoryczenia i zniecierpliwienia w tych tak nerwowych czasach. Obecne wpływy i pieniądze grają bardzo wybitną rolę w tym kierunku, gdzie zaś można znaleźć tych, którzy stale szakają obcych bogów, a swolch lekceważą, chyba palcem pokazywać nie trzeba.

Już nieraz się mówiło i pisało, że są ludzie, którym na tem zależy, aby u nas nigdy nie było ładu i porządku, tych zaś szukać się powinno poza granicami kraju, wewnątrz zaś znaleźć się tych, którzy na ich koszt i niebezpieczeństwo prowadzą całą akcyę, ale tylko do czasu, dopóki się niecho nie urwie.